

# Helena Pilecka

---

## Troki, Karaimszczyzna i moje ciocie

---

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 1(5), 7-9

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Troki, Karaimszczyzna i moje ciocie

Półwysep wciśnięty między ogromne błękitne powierzchnie jezior Tatarszki i Galwe, ozdobione gęsto porozrzucanymi zielonymi kępami wysp oraz jeszcze kilku mniejszych jezior, który już od wielu stuleci zadziwia swoją urodą podróżników i mieszkańców - to TROKI, moje rodzinne, kochane miasto. Historia Trok obfituje w ciekawe zdarzenia Obojga Narodów polskiego i litewskiego. Przyroda natomiast stwarza niepowtarzalne warunki do radosnego wypoczynku i spokoju.

Począwszy od wjazdu z Wilna, dzielnice trockie nazywano: Rogatka, Śródmieście, Karaimszczyzna i Za Mostem.

Moją rodzinną dzielnicą była Rogatka, wspomniana już przeze mnie w opisanej uprawie trockich ogórków (Awazymyz nr 1/4). Wciąż jednak najbliższą sercu pozostaje Karaimszczyzna. To tam biegałam aby każdą wolną chwilę być wśród swoich. Jak sięgam pamięcią, to największym moim osiągnięciem z dzieciństwa (miałam ok. 5 lat) była samodzielna wyprawa właśnie na Karaimszczyznę do kienesy, do modlącego się tam taty. Ach, jak się cieszyłam, że przezwyciężyłam wszystkie strachy podróży przez całe miasto i dotarłam do mety samodzielnie! Tato oczywiście również dumny był z mego wyczynu i pozwolił mi spokojnie stać obok siebie na stołeczku dla dzieci.

Wspomnienia z Karaimszczyzny ściśle wiążą się ze wspomnieniami między innymi o moich Ciociach. A były to cztery najukochańsze Ciocie, które chciałabym pokrótce przedstawić:

I tak, Ciocia Zosia - Hazzanowa, żona Ułtu Hazzana Szymona Firkowicza (rodzonego brata mojej mamy). Wierna, mądra i oddana towarzyszka życia tego powszechnie znanego i cenionego Wielkiego Syna Karaimskiego Narodu. Ciocia Zosia była piękną kobietą, wychowaną w zamożnym domu krewnych na damę, radosna, miłująca życie, bezgranicznie kochająca męża i rodzinę, życzliwa dla otoczenia, otwarta i serdeczna do ludzi. Czynnie uczestniczyła w życiu Gminy, interesowała się dziejami i losem bliźnich. Te przymioty Cioci Zosi pozwalały jej być pomocną w bardzo intensywnej religijnej i społecznej działalności męża - Ułtu Hazzana.

Dom, którego duszą była, stoi w samym centrum Karaimszczyzny (obecnie uhonorowany tablicą memorialną na część Ułtu Hazzana). W domu tym Ciocia Zosia przez ok.



60 lat godnie pełniła obowiązki żony, matki sześciorga dzieci, PIERWSZEJ DAMY Gminy Karaimskiej. Dom ten, dzięki staraniom Cioci Zosi, jej umiejętności i niespożytej energii **miał swoją duszę!** Już po przekroczeniu progu, atmosfera panująca w tym domu pomagała spojrzeć na często nękające codzienne problemy z dystansu, rozproszyć je, pokonać. Bardzo lubiłam odwiedzać ten miły memu sercu dom i nigdy nie opuściłam okazji spotkania z Wujkiem i Ciocią Zosią, posłuchania ich rad, zdania na nurtujący mnie problem życiowy, a także błogosłowieństwa Ułtu Hazzana

Nie mniej istotną do podkreślenia cechą był niecodzienny kunszt kulinarny Cioci Zosi, podziwiany nie tylko przez najbliższą i dalszą rodzinę, lecz także przez niezliczonych, podejmowanych w tym domu gości Karaimów, Hachama i Ułtu Hazzana, nie wyłączając osobistości z Rządu Państwa. Do dzisiaj pamiętam udział mojej rodziny na proszonych sobotnich i świątecznych obiadach po nabożeństwie w kenesa i smak takich karaimskich potraw, jak bułki na ałhysz, kybyny, kołduny, katłama, szszyliki, gaławy, ryby gotowane, smażone, pieczone, faszerowane, zapiekanki rybne z małych rybek własnego połowu, wspaniałe rosoly, słodkie ciasta i wiele innych smakołyków. No i ten niezapomniany zapach na Karaimszczyźnie w piątki - "iisi baraskiniń"...

Gdy kreślę te słowa, nie ma już wśród nas Cioci Zosi i Wujka Ułtu Hazzana, lecz pamięć o nich jest żywa, niezatarta, wzruszająca i taka sercu bliska ...

Tuż naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy Karaimskiej stoi dom "pod brzózką". To królestwo mojej drugiej ukochanej cioci - Cioci

Ani (również żony mamy brata Józefa). Ciocia Ania, to ucieleśnienie artystycznej duszy. Po przedwczesnej śmierci wujka Józefa sama wychowywała czwórkę dzieci. Ta niewysoka, zwinna, zapracowana i zawsze rozśpiewana Ciocia, miała tyle wewnętrznej ciepła, uroku, tyle serca, że stać ją było obdarować każdego, kto tylko przekroczył próg tego zaczarowanego domu, w którym między innymi wychowała się liczna rodzina moich dziadków Firkowiczów - rodziców mamy.

Dom "pod brzózką" z historycznym gankiem z widokiem na Galwe podejmował wiele pokoleń karaimskiej młodzieży. Tam spotykano się, tam organizowano zabawy, wycieczki, pikniki na wyspach, tam bawiono się, świętowano. To był dom pełen radości i śpiewu, chociaż tak naprawdę życiowo, to raczej bywało różnie ... Ciocia Ania, to ciocia czarodziejka, zawsze miała coś wspaniałego, smacznego, z niczego, jak mówiła. Chętnie częstowała czym chata bogata. Wiele, oj wiele miłych wspomnień i przeżyć z domu Cioci Ani utkwiło w mojej pamięci na zawsze.

Ciocia Ania знаła niesamowicie dużo piosenek i to w różnych językach, umiała rozweselić "markotnych", pocieszyć strapionych, zachęcić niezdecydowanych. Pamiętała dobrze koligacje rodzinne wielu swoich gości. I chociaż u wdowy było niebogato, lecz dom Cioci Ani zawsze był pełen gości i miał szeroko drzwi otwarte. Do tego i czworo dzieci Cioci Ani również byli gościnni, życzliwi, pełni życiowej energii i muzycznie utalentowani. Dla mnie najbliższą była kuzynka Zosia i jej "komanda", tj. grupa karaimskiej młodzieży, często zbierającej się w tym domu do zabawy i organizacji imprez towarzyskich, przeto najczęściej na Karaimszczyźnie przekraczałam próg domu Cioci Ani, niejednokrotnie uprzedzana, abym się schyliła, ze względu na mój wysoki wzrost i niskie drzwi. I już tak jest zawsze, że być w Trokach i nie odwiedzić domu Cioci Ani, oj tego sobie nie wyobrażam ! Ciocia Ania dożyła sędziwego wieku, doczekała się wnuków i prawnuków. Pamięć o tej wesołej, miłej, bardzo kochanej Cioci i jej gościnnym domu na zawsze pozostanie w moim sercu.

Aby odwiedzić moją trzecią ukochaną ciotkę należało minąć całą Karaimszczyznę i most. Tuż za mostem, łączącym jezioro Galve z jeziorem Tatarszki, nad brzegiem tego ostatniego jest zagroda Cioci Kamci (siostry mojej mamy), żony wujka Michała, który prosząc o rękę Cioci Kamci z góry zastrzegł rodzicom, że odmowa byłaby równa skazaniu go na śmierć. W obawie przed takim grzechem,

dziadek się poddał, a wujek Michał przez całe swoje życie gorąco miłował Ciotkę Kamcię. Ciocia Kamcia, mama sześciorga dzieci, to bardzo skromna, spokojna, miła, bezpretensjonalna i serdeczna kobieta. Prowadząc dom pełen ludzi i do tego mając spore gospodarstwo rolne musiała dużo się natrudzić. Nie pamiętam jednak, aby kiedykolwiek ta pracowita, życzliwa otoczeniu, cicha pszczołka narzekała. Ciocia Kamcia, chociaż nie zdobyła wysokiego wykształcenia, była życiowo mądrą osobą i wyznawała bardzo mądrą, moim zdaniem, filozofię życiową, głęboko wnikając w zawziętość życia, wzajemnych ludzkich kontaktów. I chociaż wrodzona skromność nie pozwalała Cioci ujawniać Jej poglądów, to jednak kilkakrotnie udało mi się podyskutować z Ciocią Kamcią na te tematy życiowe i byłam mile zaskoczona głębokim realizmem i znajomością życia zawsze gorąco kochanej, skromnej, miłej i szczerze serdecznej ludziom i rodzinie Cioci Kamci. Świąteczne i codzienne spotkania u Cioci Kamci, to była oaza wytchnienia, spokoju, radości obcowania z osobą o tak bogatej duszy wewnętrznej i tak bardzo bezpretensjonalnej. Ciocia Kamcia dożyła późnej starości i jak cicho żyła, tak cicho odeszła, pozostawiając po sobie nieutulony żal w mocno JA kochających sercach.

Nie ma już wśród nas moich ukochanych Cioć, lecz na pociechę są jeszcze sny i tam się nieraz spotykamy na Karaimszczyźnie, odtwarzając wiele niełatwych przeżytych lat, pełnych trudu, znoju, niewygod, okropności wojennych, ale też młodzieńczej nadziei, rodzinnej życzliwości i radości.

Na zakończenie wspomnień o moich Ciociach z Karaimszczyzny, nie mogę pominąć czwartej Cioci (mamy siostry) Cioci Doni. Ciocia Donia od najwcześniejszych lat, jak często wspominała Mama, dbała o elegancję, lubiła wygodę, lubiła być podziwiana. Nęcił ją szeroki świat, lepsze życie. Dlatego też nie zawahała się powiedzieć znacznie starszemu, zamożnemu adoratorowi z Warszawy, że Ona zerwałaby ten PIĘKNY KWIAŁ, gdyby się jej podobał, co też Adorator i uczynił... Po zamążpójściu Ciocia Donia zamieszkała w Warszawie, prowadząc dobrze sytuowany dom. Ciocia Donia była mamą jedynej córki Ireny, starannie wychowanej w dobrych szkołach. Gdy owdowiała, wyszła ponownie za mąż i nadal mieszkała w Warszawie. Ciocia Donia była damą. Lubiła piękne stroje, biżuterię, spacerować, pragnęła być młoda, adorowana i podziwiana oraz kochana aż do

późnej starości. Ciocię Donię bardzo kochałam również, była dobra, lecz zbyt duża dzieliła ją odległość od nas wszystkich, zbyt różne były nasze w Trokach i Cioci Doni w Warszawie bieżące przeżycia i serdeczność Cioci Doni



wyrażała się też w sposób odmienny. Jednak Ciocia Donia żywiła wiele ciepłych, rodzinnych uczuć do rodziny z Ojczystych Trok, w miarę możliwości utrzymywała kontakt korespondencyjny, a dla mnie zawsze była mniej zrozumiałą, lecz drogą i bliską sercu Ciocią. I chociaż Cioci Doni życie, być może, było mniej problemowe niż Cioć na Karaimszczyźnie, tym niemniej ciężkie wojenne przeżycia osłabiły zdrowie Cioci Doni, która przedwcześnie zmarła u córki Ireny w Sopocie, gdzie też jest pochowana. Ciocia Donia, którą w dzieciństwie nazwałam "Złotą Ciocią", nigdy nie straci miejsca w moim sercu.

Cześć pamięci dla wszystkich moich ukochanych Cioć !!!

Niech im ziemia trocka i sopocka lekką będzie !!!

Helena z Bezekowiczów Pilecka  
(Gdańsk)

## Jakub Bezdziety

Trzymam w rękach dwie olbrzymie płachty papieru: 500 i 100 carskich, przedrewolucyjnych rosyjskich rubli. Zastanawiam się, jak duże musiały być w owych czasach portmonetki, aby zmieścić w sobie i nie pognieść tak wielkich banknotów. Patrzę na piękne, bardzo precyzyjnie wykonane podobizny rosyjskich carów oraz na barokowe ornamenty, zdobiące brzegi banknotów i staram się odgadnąć do kogo należały te pieniądze, czy zdołały dać komuś szczęście, czy wręcz przeciwnie, stały się powodem czyjś zbrodni, czyjś śmierci. I nagle przypomina mi się mój pradziadek i jego smutna historia, która nie tylko położyła kres jego życiu, lecz zmieniła los całej jego rodziny, z moim włączenie.

Mój pradziadek nazywał się Jakub Solomonowicz Kisir. Był Karaimem. Urodził się w 1863 roku. Całe życie mieszkał w Chersonie, w miasteczku na południu Ukrainy.

Nazwisko Kisir (Ki-syr) po karaimsku oznacza bezdziety. Ale pradziadek tym się nie przejmował i moja prababcia regularnie co dwa lata wydawała na świat kolejnego potomka Bezdzietygo Jakuba. Oboje pracowali zawzięcie przez 16 lat, aż w 1905 roku urodziła się moja babcia i dopiero wtedy produkcja dzieciactwów dobiegła końca.

Często się zastanawiam, jak wyglądał mój pradziadek. Jako prawdziwy religijny Karaim, trzymał się z dala od fotografa. Flesz oświecił go przypadkiem tylko jeden jedyny raz, na pogrzebie jego brata. Zdjęcie owe, naklejone na gruby karton, nieostre z żółtymi plamami czasu, oglądałam już setki razy. Na pierwszym planie rozkopany głęboki